



„ HOMOSOVIETICUS

**czyli o praźródłach naszego obecnego stanu,
czyli ciągle aktualny opis obyczajów
z czasów Michaiła Zoszczenki”**

Monodram skonstruowany na bazie twórczości Michaiła Zoszczenki –
wybranych opowiadań satyrycznych o drobnomieszczaństwie i filisterstwie
obywateli Rosji lat porewolucyjnych. Dodatkowego klimatu tej
inscenizacji dodają piosenki przy akompaniamencie akordeonu.
Premiera spektaklu grudzień 2017r. Spektakl został nagrodzony

Złota Misa Borowiny na XXXIX Biesiadzie Teatralnej Horyniec Zdrój
2018

Złoty Gwóźdź na XXXVI Proscenium 2018 w Nysie

I miejsce na VI edycji KARBIDKA Siemianowice Śląskie 2018

I nagroda aktorska na XXIV Słodkobłękitach - Zgierz 2018 - Za dobór
tekstu i przekazanie jego aktualności oraz świadome i barwne operowanie
warsztatem aktorskim.

scenariusz, reżyseria, wykonanie : WOJCIECH KOWALSKI
scenografia: YOLA NYKOWSKA

teksty i muzyka: BUŁAT SZAŁWOWICZ OKUDŻAWA
śpiew: WOJCIECH KOWALSKI
akordeon: MICHAŁ PILARSKI

=====

Informacje o wykonawcy

Wojtek Kowalski, częstochowianin, aktor Teatru From Poland. Twórca wielu happeningów, konferansjer, instruktor teatralny, polonista. W latach 1989-2000 aktor Teatru WI-Fi-Fi. W latach 90-tych muzyk zespołu Hababuk. Współpracował z Zielonogórskim Zagłębem Kabaretowym. Wystąpił w kilku filmach Wytwórni A'YOY, między innymi partnerował Stanisławowi Tymowi i Maćkowi Stuhrowi w "Baśni o ludziach stąd", wcielając się w rolę Hektora. Dwukrotny laureat Nagrody im. Maxa Szoca na Famie (1995, 2010). Za rolę w spektaklu Saxofonista Teatru From Poland otrzymał kilkanaście nagród aktorskich na najważniejszych festiwalach teatralnych w kraju. Animator życia kulturalnego w Częstochowie. Od jedenastu lat pomysłodawca i organizator Ogólnopolskiego Festiwalu „42-200 MONODRAM”. Premiera monodramu /debiut reżyserski/ "Porady dobrego Wojaka Szwejka" w 2009 roku przyczyniła się do powstania "personalnego" TEATRU WOJTKA KOWALSKIEGO.

Zrealizowane dotychczas spektakle pod szyldem TEATR WOJTKA KOWALSKIEGO to m.in.:

1. „Porady dobrego Wojaka Szwejka” - monodram - premiera grudzień 2009;
2. "Love, love, love po zmierzchu" – bajka dla dorosłych ze smokiem w tle” - premiera spektaklu - czerwiec 2012;
3. „Free Kolors” - premiera styczeń 2013;
4. „Bajka uliczna z tekstów zapomnianych” -premiera grudzień 2013;
5. „Opowieści kwaskowe” - monodram – premiera grudzień 2013;
6. „3xTAK RUDNICKI” - monodram - premiera kwiecień 2015; ;
7. "Co Pan na to Panie Freud?" - autorski spektakl - premiera grudzień 2015;
8. "Wiech-koń by się uśmieł"- premiera grudzień 2016;
9. "Homosovieticus" - premiera grudzień 2017r

Wojtek Kowalski jest z Częstochowy i dla polskiego offu jest tak samo święty jak Jasna Góra dla katolików. Ale my mamy lepiej. Bo na przykład na Jasną Górę trzeba pielgrzymować w pocie i trudzie wakacyjną porą, podczas gdy Wojtek Kowalski przez cały okrągły rok sam jeździ po Polsce ze swoimi monodramami, zamiast czekać, aż Polska przyjdzie do niego. I bardzo dba o to, żeby na scenie spocić i utrudzić się jak najmniej: bo przecież nie po to człowiek tyle jechał z własnym teatrem, żeby potem jeszcze po nim chodzić. W ogóle można wyliczyć wiele podobieństw łączących Kowalskiego i górę, każdą górę, nie tylko Jasną. Wojtek jest duży i malowniczy, ale wcale nie trzeba się na niego wspinać, żeby poznać jego łagodne zbocza i ostre granie. Wojtek gra ostro, kiedy mówi ze sceny o Polsce, może wtedy także łagodnie zbroczyć z tematu i opowiedzieć coś o sobie, o paradoksie aktora, który choć ma w definicji to łacińskie agens, to jednak ruch i działanie rozumie najwyraźniej po swojemu. Ruch Kowalskiego jest ruchem minimalnym, promilem ruchu, ruchem na kacu,

czyli niekoniecznym, bolesnym, męczącym, a z tego wynika tak zwane „drugie prawo Kowalskiego”, które mówi, że prawdziwym działaniem scenicznym jest dopiero niedziałanie, czyli pasywność pozornie aktywna lub aktywność jawnie pasywna. Jest to tym ciekawsze, że na pierwszy rzut oka Wojtko Kowalskiego rozsadza od środka temperament, ale w jakiś dziwny i niepojęty sposób nie przekłada się to zazwyczaj wcale na choreografię ani nawet na gestykę. Najwidoczniej aktorstwo Kowalskiego zawdzięcza najwięcej podpatrywaniu wulkanów. Wulkan, jak wiemy, raczej się nie przemieszcza (a przynajmniej życie ludzkie jest zbyt krótkie, by to jego przemieszczanie zaobserwować), tylko sterczy sobie gdzieś do góry i pozwala, by coś z niego efektownie wylatywało. Podobnie dzieje się z Kowalskim, który dopracował do perfekcji ekonomikę energetyki. Nigdy nie widziałem, żeby biegał po scenie, krok, dwa kroki to już jest cała wyprawa, Kon-Tiki częstochowskiego aktorstwa. Jak Kowalski za długo postoi w jednym miejscu, to najwyżej po jakimś czasie sobie usiądzie, bo zawsze ma gdzie. A jak już posiedzi i zmęczy się tym siedzeniem, wpada nagle na pomysł, że przecież w końcu, ostatecznie można by chyba wstać, więc wstaje, a wstaje tak, żeby wszystkim się wydawało, że to nie aktor wstał, tylko rozpętała się trzecia wojna światowa, przeszło tsunami, spadł meteor na teatr. Tak, Wojtek Kowalski ma już w sobie tę wielką prawdę największych aktorów, którzy na pierwszej próbie sytuacyjnej pytają reżysera tonem nieznoszącym sprzeciwu: „To gdzie ja będę siedział?”. Kowalski nawet nie pyta, nawet nie siada bez pozwolenia, tylko w ogóle od początku siedzi. Bo kiedy Kowalski siada na scenie, to jest to gest tak emblematyczny i reprezentatywny dla wszystkiego, co Kowalski nazywa teatrem, że ma się wrażenie, że coś naprawdę wreszcie siadło w polskim teatrze albo właśnie posadzili cały polski teatr. Wojtek siedzi na scenie, w miejscu, które sobie upodobał, w miejscu, w którym ma to sens, więc w przeciwieństwie do większości osadzonych nie cierpi od tego siedzenia, jego siedzenie jest dobre, bo wtedy bucha z niego (z całego Wojtko, a nie tylko z jego siedzenia) wulkaniczna jowialność, coś dobrego i jasnego pędzi stale od niego w kierunku widza. „Patrz bracie we mnie jak w powiększające lustro! – zdaje się wołać Wojtek w każdym przedstawieniu. – A zobaczysz, co gnębi dobrego człowieka, co człowiekowi żyć nie daje!”. Bo Kowalski zawsze jest na scenie dobrym człowiekiem, którego coś omotało, dostał łopata w głowę i teraz widzi podwójnie, wydaje mu się, że jest kimś innym, że ma prawo do sądu nad rodakami lub do kłamstwa o rzeczywistości lub na swój temat. Ta uzurpacja może być czymś strasznym, może być czymś zabawnym. Kowalski wybiera komizm, bo nie chce zabijać ciepła i jasności w sobie. Na jego spektaklach często chowamy wszelką osobistą ponurość i dlatego Wojtek jest jedyną znaną mi Jasną Górą, z której wolno się śmiać bez strachu przed ojcami paulinami, przeorem, prymasem i prokuratorem. Kowalski zna jednak inne ważne słowo na „p”, czyli przebaczenie. Na scenie szuka w człowieku raczej dobra niż zła i jeśli z niego drwi, jeśli ukazuje w nim to, co brzydkie i spotworniałe, to tylko po to, by go na koniec rozgrzeszyć: zrozumieć i dlatego wybaczyć.

To wszystko trzeba wiedzieć, o tym właśnie należy pomyśleć w chwili, kiedy zaczyna się nowy spektakl teatru Wojtko Kowalskiego z Częstochowy o nieco przydługim barokowym tytule Homo Sovieticus, czyli o praźródłach naszego obecnego stanu, czyli ciągle aktualny opis obyczajów z czasów Michaiła Zoszczenki. Jak się wymyśla tak długi tytuł, to powinno się wiedzieć, że gdzieś w swojej połowie z czystego tytułu zmienia się on w swoją własną interpretację przedstawienia. Taki tytuł już właściwie jest recenzją. Wolałbym oczywiście, żeby spektakl Kowalskiego nazywał się po prostu Kowalski, bo pomieściłby się w tym tytule i Homo Zoszczenkus, i polski Everyman, i cała nasza współczesność.

Na początku dwa zaskoczenia. Zaskoczenie pierwsze: niby to monodram, a jest ich na scenie dwóch. Spuchnięty od rangi i czynu potężny aktor w szynelu z wojskową czapką nasuniętą na oczy oraz szczupło elegancki akordeonista. Obaj oczywiście siedzą. Zaskoczenie drugie:

akordeonista wcale nie gra, tylko pisze na maszynie, a urzędas w mundurze spoczywa na obrotowym tronie, który nie został jeszcze wprawiony w ruch, ale za chwilę będzie. Czekista tubalnym głosem recytuje do rytmu szczerkających czcionek kolejne linijki obywatelskiego donosu na sąsiadkę handlującą bimbrem i jest w tej scenie symbolem instytucji, która donos odbiera, i obywatelem, który donos składa, a szkodząc bliźniemu, szkodzi również sobie. Kowalski wygląda jak czysty majestat sowieckiej władzy, czyli tak, jakby pijaczek, kretyn i żarłok przebrał się za generała. Gesty rąk aktora są rzadkie, zdają się przyszyte do wyłogów żołnierskiego płaszcza. Tu palec się rozprostuje, tu zwinie się z kolegami w pięść. Ale za daleko od piersi nie pójdzie. Bo jeszcze gdzieś zginie, bo może ukradną. W głosie Kowalskiego, przebranego za czekistę, pobrzmiwa rozpacz alkoholika, którego nie wpuszczają na melinę, nie sprzedają bimbru na szklanki, nie dają nawet popatrzeć na proces kuchennej destylacji. Jego donos staje się w interpretacji aktora skargą na niedobór wszystkiego, a zwłaszcza godności i empatii, na złe urządzenie rzeczywistości porewolucyjnej. No bo przecież jeśli nadawcą i adresatem donosu jest ten sam człowiek w milicyjnym płaszczu, to znaczy, że system zjada (przepija?) samego siebie, jest od początku tworem schizofrenicznym. Bohater Homo Sovieticus mógłby zawołać na swój widok tak, jak kiedyś Ilja Erenburg przeglądający się w teatralnym lustrze w mundurze CzK: „Przyszli po mnie!”. Może więc patriarchalna, tronowa poza pana władzy z początku spektaklu to tylko przygotowanie do innego siedzenia, może już prefiguracja wyroku, tiumny i łagru? Oczywiście, Kowalski ma świadomość, że w tej pozycji nie da się zagrać wszystkich humoresek Zoszczenki, dlatego w pewnym momencie tron obraca się kilka razy dookoła i wygląda to tak, jakby Kowalski uruchomił wielką teatralną obrotówkę, posadził siebie samego na środku teatru i oświadczył z namaszczeniem: „To właśnie nazywamy dynamiką!”.

Po niecałym kwadransie nieruchomości częstochowski aktor wstaje, podchodzi do wieszaka, zmienia kostium, zbliża się do mikrofonu i zaczyna śpiewać przy akompaniamencie akordeonu. Dzieje się tak, bo Homo Sovieticus skonstruowany jest na zasadzie przeplatanki opowiadań z piosenkami. Lirycznym kontrapunktem do jadowitego Zoszczenki są pieśni-modlitwy Bułata Okudźawy. Kowalski nie tylko spina w jedno dwie radzieckie epoki, co pokazuje drugie dno spotworniałego świata, jego prawdziwą duszę. Ludzkie robactwo, cwaniaki i kombinatory portretowani przez Zoszczenkę nie byli nigdy całą Rosją Radziecką. Kiedy Kowalski śpiewa Okudźawę – pięknieje, oczyszcza się z plugastwa, pretensji, złości, ale i zagubienia opowiedzianych przez chwilą bohaterów.

Ze zbioru Zoszczenki wybiera jeszcze historię skutków jazdy na darmowej karuzeli, opis komunistycznej służby zdrowia, co to dziwi się, gdy ktoś wyzdrowieje pomimo tylu zaniechanych prób wyleczenia, przypowieść o zwyczajnym człowieku, który dostał pracę absolutnie bez żadnej protekcji i dwie anegdoty teatralne. Tę o kulturalnej randce z damulką, która w antrakcie zapragnęła ciastek w teatralnym bufecie, a narrator bał się, że mu drobnych nie starczy i wyszedł na ostatnie chamidło oraz monolog byłego popularnego aktora, który podczas robienia zastępstwa za chorego kolegę grającego bogatego kupca został naprawdę obrabowany przez statystujących amatorów i w związku z tym dał sobie na zawsze spokój z występami scenicznymi.

Kowalski opowiada ze swadą, bez mrugnięcia okiem przejmuje optykę bohaterów, patrzy na świat jak na pole pełne sideł i dołów-pułapek. Rzeczywistość sowiecka polega na tym, że albo ty ich wykiwasz, albo oni ciebie. Bądź czujny, kant jest tuż za rogiem! Ludzie im mają mniej, tym więcej chcą, a im więcej chcą, tym mniej mogą mieć. Kiedy nie mają już nic, zostaje im tylko smutnie spokojny i cholernie mądry Okudźawa. Im życie straszniejsze i bardziej absurdalne, tym pieśni piękniejsze. Ale co z tą współczesnością Zoszczenki wybitą w tytule

spektaklu? Co to za lustro podstawia nam Kowalski? Aktor i reżyser zwyczajnie chce nam powiedzieć, że pewne postawy i mechanizmy są wieczne. Że jak coś źle działa w społeczeństwie, to działa źle na zawsze, choćbyśmy nie wiem ile rewolucji moralnych i ekonomicznych przeżyli. Kowalski wierzy, że nasza obecna roszczeniowość, kult darmochoy i zabierania tego, co niczyje, bo akurat wspólne, zaczęła się właśnie wtedy. Znow naród ma w dupie przyszłość, bo właśnie zaczął się całkiem nieźle urządzić w terażniejszości. A ten, któremu głośno biją brawo („Wasia! Wasia!” albo „Suweren! Suweren!”) ma niejakie kłopoty ze zorientowaniem się, że akurat kroją mu portfel z kieszeni. Drze mordę na drugiego takiego samego jak on, bo boi się, że jak przyjdzie co do czego, to jego wsadzą pierwszego. Więc niech przynajmniej i tamten ma za swoje. Trzeba go wyeliminować zawczasu, upokorzyć, obsobaczyć. Dobro musi się bronić. Nawet świństwem.

Po ostatnim monologu i ostatniej piosence Wojtek Kowalski wygląda na śmiertelnie zmęczonego człowieka, jeszcze jedno słowo, jeszcze jeden gest, ruch i nam tu padnie, nie złapie tchu. A przecież prawie się nie ruszał, był samą maestrią eliminacji ruchów absolutnie koniecznych. I tak sobie myślę, że to nie ruch, nie wysiłek męczy Kowalskiego najbardziej: najbardziej męczy go myśl znaleziona u Zoszczenki. Myślał sobie Zoszczenko, że ci dobrzy, choćby nie wiem co, choćby nie wiem, jak bardzo kombinowali lub chcieli stać się niewidzialni dla systemu, czyli byli nieruchomi, nieporuszeni żadną sprawą, absurdem, niehumanitarną praktyką władzy i zbiorowości, to jednak zawsze ci dobrzy, jak mawia lud, zostaną wyruchani, czyli po naszymu – przegrają, dostaną w dupę, ani zipną. I pieśń im nie pomoże, co najwyżej ukoi zdychanie na śmieszno.

I właśnie to Wojtka Kowalskiego rusza najbardziej.

19-02-2018 Łukasz Drewniak , krytyk teatralny